



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.  
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



## SZUM BRZÓZKI.

Pod oknami mojej chaty  
Biała brzózka smukło rośnie,  
A odarta z letniej szaty,  
Chwiejąc warkocz swój kudłaty,  
Pomrukuje coś żałośnie,  
Wyśpiewywa pieśń niedoli,  
Że słuchając dusza boli.

„Chłodny wietrze! Sroga zimo!  
Szkłany lodzie! śniegu biały!  
Wyście ledwo przeszły mimo,  
Już ozdobę mą rodzimą,  
Moje liście oberwały!  
Rozrzuciły po przestrzeni,  
Zamroziły sok w mój rdzeni.”

„Na gałązkach ciężką bryłą  
Łód kropliste zakuł deszcze;  
Biały śniegu! poco było  
Wiać na głowę, na pochyłą,  
I obciążać bardziej jeszcze,  
Że wierzchołki wysokiemi  
Gnać się muszę aż ku ziemi?”

Nie na długo wicher głuszy,  
Ciepły wietrzyk wiosnę szepce,  
Wiosna przyjdzie, lód pokruszy,  
Ona warkocz twój osuszy,  
Ciężkie śniegi w błoto wdepce;  
W twojej piersi znów widocznie  
Siła soków krążyć pocznie.

*Syrokomla.*

## Najnowsza powieść Deotymy.

(Dalszy ciąg).

Mieszkańcy zamkowi byliby słuchali do nocy, ba! i całą noc do świtania, ale pielgrzym, zobaczywszy przez okno czerwoność zachodzącego słońca, zerwał się ku wyjściu, bo mu jeszcze porządny kawałek drogi zostawał do wiadomego

klasztoru, gdzie miał noc przepędzić i z przeorem radzić o swoich przyszłych losach.

Ruszyło się wszystko w sali; a pierwsza ruszyła się pani zamek, aby nagromadzić pożegnalne dary dla pielgrzyma. Kazała przynieść zimnego mięsiva, dodała i dwa złociście chleby żytnie, i pozostała całą połowę placaka, a kiedy to wszystko zaczęto pakować do sakiew, to strach brał, aby nie popekały. Kazała też przynieść miękkie, nowiuteńkie obuwie, które pielgrzym zaraz przymierzył i nadział, stare za-



wiesiwszy na kiju; dała mu i kawał domowego płótna, i pas szeroki z czarnej skóry, spinany mosiężną sprzączką, który miał wewnątrz misterną kryjówkę na pieniądze; a piękna Ludmiła sięgnęła do płaskiego woreczka, co jej wisiał u boku na łańcuszkach, dobyła z niego dwie sztuki złota i wsunęła je do kryjówki.

Pielgrzym, rozczerwiony, nie wiedział, jak dziękować i czym się odplacić? Zdjął ze swego ubrania muszelkę dla Jasia, pomiędzy domowych rozdał kilka poświęconych krzyżyków, ale cóż samym paniom ofiarować?

Szczerze mówiąc, nie chciało mu się rozpruwać płaszcza i po drodze rozdawać kosztownych relikwii, któremi kiedyś miał nadzieję okupić sobie zbrojną pomoc przyjaciół ojcowskich, albo przynajmniej schronienie na starość przy jakim klasztorze.

Szczęściem przyszła mu w porę myśl wyborna: sięgnął do zanadru i wydobył małą, maleńką pacuszkę. Wszyscy zaglądali ciekawie. On powoli, ostrożnie, odwijał płatek po płatku, aż wyjął drobną gałązeczkę o kilku ramionach, zupełnie martwą, szarą jak ziemia, zwiniętą w twardy, pokrecony kłębuszek.

Podniósł ją wysoko, pokazał zgromadzonym i odezwał się uroczyście:

— Czemże można was obdarzyć, moje zacne i urodziwe dobrodziejki? Czegoż wam na świecie braknie? Macie wszystko, czego łaknie ciało, czego pragnie dusza. Wasze życie usłane różami...

Tu chwilę się zatrzymał, jakby czekał na słówko potwierdzenia ze strony dobrodziejek.

Któżby uwierzył? Te nie wyrzekły ani słówka, owszem, podniosły ku niemu wzrok żalony, wyraźnie przeczący.

Ale pielgrzym nie chciał zważać na to przeczenie, które mu psuło piękny zwrot przemowy, i kłaniając się, ciągnął dalej:

— Życie wasze usłane różami. Otóż ja do róż tych dodam jeszcze jedną, ale taką, jakiej nie widziałyście nigdy, jakiej w naszym kraju nikt jeszcze nie widział. Słyszeliście wy też kiedy o róży Jerychońskiej?

Kilka głosów odezwało się z nieśmiałością:

— A juści, słyszeliśmy. To podobno kwiat Matki Boskiej.

— Dobrze mówicie, kwiat Matki Boskiej, kwiat niebiański. Otóż to jest właśnie róża Jerychońska, taka, jaka rośnie na ziemi, ale tylko na ziemi Świętej, pod miastem Jerycho, którego to mury rozpadały się na zatrabienie Jozuego. Byłem tam. Na własne oczy widziałem kamienie z owych murów, leżące jeszcze w poczerńiałych kupach. Wokoło miasta pustynia. Gdzieniegdzie kępami rosną przecudowne palmy, zresztą wszędzie szczerzy piasek, żółty jakby złoto, a na piasku takie oto różyczki leżą porozrzucane; niewiedzieć z kąd się tam biorą, jakby je kto z nieba wysypał. Tę, którą widzicie, własnymi rękami wyjąłem, a nie trudno wyjąć, bo — rzecz dziwna — ten kwiatuś wcale nie wrasta w ziemię, ale tylko po wierzchu trochę się piasku trzyma, zaczepiony tą łodyżką, jakgdyby haczykiem. To też lada wiatr go wyrwa i roznosi po całej Ziemi Świętej, tak, że tam naprawdę padają deszcze z róż.

Tu ruch rosnący przerwał mowę pielgrzyma. Słuchacze, zaciekawieni, coraz ciałniej go napierali; musiał każdemu z osobna pokazywać osobliwszą roślinkę. Nakoniec wszyscy przyjrzeni się do syta.

— No — rzekł — już tedy wiecie, jak to wygląda i gdzie rośnie. Ale czemu jest poświęcone Matce Boskiej, a! tego nie wiecie. I nie zawsze też to nosiło taką świętą nazwę, dawniej to był kwiat Ewy, kwiat „matki człowieczeń”. powiadają, że kiedy cherubin, uzbrojony mieczem gorejącym, wypędzał naszych rodziców z rajskiego ogródka, biedny ojciec Adam był taki zgryziony, że już na nic nie patrzył i na nic nie pomyślał: szedł z oczami wlepionymi w ziemię, więcej podobno żałując straconej łaski Pana Boga, niżeli wszystkich prześlizgnięć Edenu. Ale Ewa, zapobiegliwsza, troszczyła się już w sercu, jak to tam będzie dalej z nimi,

i koniecznie chciała z téj dawnéj siedziby wynieść sobie coś, choćby najmniejszego, na nowe gospodarstwo. A tu strach, niełatwo rękę ściągnąć, bo cherubin patrzy ognistemi oczami. Jednak, już przy samej bramie rajskiej, uchwyciła chwilę, kiedy się zapędził za mężem, i uszczknęła różę, jedną małą różyczkę, taką malusią, że ją schowała w dłoni. Użytek z takiego kwiatka niewielki, zawsze jednak — myślała sobie — jak się te róże rozrodzą, będzie czym ozdobić nasze nowe gniazdo, będzie co wpleść we włosy, jak za dni szczęśliwości! (Bo to, z przeproszeniem dobrodziejek, białogłowie zawsze strój na myśli). Sądziła biedna matka nasza, że z téj różyczki wyrosną po dawnemu cuda. Ach, jakże się strasznie oszukała! Róża, przesadzona z ziemi edeńskiej na ziemię wygnania, straciła całą krasę, pokurczyła się i uschła zupełnie. Jednak, jako z raju pochodząca, nie mogła się pozbyć swego nieśmiertelnego przyrodozenia, rosła więc dalej, bo nie mogła nie rosnąć, ale szara, karłowata i suchuteńka. Pamiętka z raju, ale utraconego. Aż po wielu tysiącach lat, kiedy Panna Marya i Józef święty powracali z Egiptu, Pan Jezus, który już miał kilka latek, biegając po złotej pustyni, ulitował się nad losem wygnańczego kwiatka, zerwał kilka takich martwych gałązek i siał sobie przy drodze, ażeby dla matki upleść z nich koronę. A gdy plotąc zaczął rozmyślać, jaki to grzech ciężki sprowadził śmierć owego kwiatka, i w ile złości ów grzech się rozrodził, i jak przyjdzie to wszystko na krzyżu okupić, tak się Najdroższemu Dzieciatku i na płacz zebrało. Boskie łzy upadły na gałązkę i wtedy stał się cud: róża odżyła, w mgnieniu oka wydała listki i kwiateczki, i kiedy Jezus włożył Matce na głowę koronę, to już zieloniuteńką i kwitnącą. I niedość na tem; odtąd cud się powtarza, bo w rękach Pana Jezusa klątwa grzechu pierwotnego ustała nad kwiatkiem, jak ustała nad rodem ludzkim. I już nawet nie potrzeba łez, ale dość jest kilku kropel wody, ażeby róża odżyła.

Tu powstał między zgromadzonymi jeden okrzyk:

— Jakto? wody? Zwyczajnej wody? Czy to być może?

— A tak. Naprzykład oto, patrzcie: tę gałązkę zerwałem przed laty dwoma, wszak zeschniętą, jak wiór, nieprawdaz? A jednak włożcie ją w miseczkę, albo w dzbanuszek z wodą, a zobaczycie, co się stanie.

— No, cóż? Cóż? — pytano dokoła.

— Nie upłynie połowy, ba! i ćwierci dnia, ale gdzież tam! i to za wiele dosyć tyle czasu, ile trzeba, ażeby odśpiewać nieszpory, a ten wiórek zmięknie, pokurczone gałązki wyprostuje do góry i rozwinie się w taki szeroki krzak, że kiedy teraz można go schować w dłoni, to potem dwiema rękami ledwie się zakryje. Wyjmijcie go z wody, a napowrót uschnie; włożcie go poraz drugi, znowu się rozwinie; i tak samo będzie za rok, za lat dziesięć, za sto, i zawsze.

— A to dziwne! A to niepojęte! — wołali słuchacze.

— Proszę dobrodziejka — wtrąciła ochmistrzyni — czyby to nie lepiej było tę różę zasadzić na grządce, albo włożyć w doniczkę?

— A! moja matulu — odparł pielgrzym z uśmiechem — to nie byłaby sztuka. Na grządce, lub w donicy, lada ziele wyrośnie. Ale tu właśnie chodzi o rzecz cudowną. Ta róża nie jest kwiatem ziemskim, więc jej nie potrzeba ziemi, dość, aby kilka kropel przypomniało jej łezki Jezusowe, a budzi się, jak wskrzeszona. O! w tym kwiatku jest wielka dla nas nauka i pociecha: umiera i zmartwychwstaje, pokazuje nam czym jesteśmy i czym zostaniemy. Dawniej kwiat Ewy, a dzisiaj kwiat Maryi.

Nastąpiło milczenie.

Przerwała je piękna łowczyni:

— Ja bo jeszcze chciałabym coś wiedzieć. Mówiliście, że róża, włożona w wodę, robi się jak żywa i podnosi gałązki, czy wydaje kwiaty?

— O... to cud rzadszy — odpowiedział pielgrzym z niejakim wahaniem. — Jednak słyszałem, że i to się trafia. Kiedy Matka Boska chce komuś okazać wielką łaskę, pozwała, aby róża wypuściła zieloniuteńkie listki i bieluteńkie



kwiatki. Ale taka łaska bardzo rzadka. Błogosławiony to już dom, w którym róża Jerychońska zakwitnie.

Wymawiając te słowa, pielgrzym przystąpił do Elżbiety i wręczył jej gałązeczkę.

— Trzy takie róże — dodał — wyniosłem z Palestyny. Jedną dałem pewnej maurytańskiej dziewczeczce, którą chciałem nawrócić na wiarę naszą świętą; drugą dałem królowej Blance, kiedy nas dwunastu pielgrzymów zaprosiła do swego stołu w Wielki Czwartek; trzecia, ostatnia, jaką posiadam, niechże tu zostanie. Oby zakwitła i szczęście wam niosła!

Jaś uczeplił się sukni matczyniej, wyciągnął rączki i wołał:

— Daj, matuniu, daj!

Ale matka wysoko podniosła gałązkę, łagodnie odma-wiając:

— Nie, Jasiu, tego psuć nie można, to kwiat święty.

Pielgrzym tymczasem wychodził, odprowadzany przez wszystkich domowników, żegnany chórem dziękczynień i życzeń.

(d. c. n.)

## Osobliwszy nóż do rozcinala kartek.

Piękna kraina indyjska, jak wiadomo, w znacznej części przeszła już pod panowanie Anglii, a królowa angielska przybrała nazwę cesarzowej Indyj. Dawniej rozległa ta przestrzeń podzielona była na liczne państwa i państewka, władcy ich, zwani radzami, wyłączeni ze swoich posiadłości, zachowali tylko przywileje, któremi rząd angielski usiłuje im osłodzić utratę władzy. Niektórzy z nich pogodzili się zupełnie ze swoim losem, a nawet żyją w stosunkach przyjaźni z wyższymi urzędnikami angielskimi, którzy na ich miejscu krajem rządzą.

Parę lat temu mieszkał w Kalkucie radza bardzo bogaty, który polubił bardzo towarzystwo Anglików, wyuczył się czytać i pisać ich językiem i pysznił się niezmiernie tą umiejętnością, popisując się nią, ile razy nadarzyła się do tego sposobność. Dnia pewnego, przybywszy w odwiedzin do wice-króla czyli wielkorządcy angielskiego, obaczył w salonie na stoliku świeżo odebrane z poczty czasopisma, między innymi miesięcznik w formie książkowym, wcale jeszcze nie porozcinany. Ponieważ w salonie było kilka osób, radza nie omieszkiał pochwalić się przed nimi swoją głęboką znajomością literatury angielskiej i wzięwszy książkę do ręki, przeglądał ją z zajęciem, wreszcie poprosił gospodarza domu o jej pożyczenie, na co ten uprzejmie się zgodził. Znając słabą stronę dostojnego Indusa, goście zaczęli głośno podziwiać jego niepospolite uzdolnienie, on zaś uszczęśliwiony i pyszny zabrał książkę i odjechał.

Chociaż radza w rzeczywistości trochę zanadto się przechwalał i nie umiał tak biegie po angielsku, aby mu przyjemność sprawiało czytanie w tym języku, zwłaszcza utworów poważniejszej treści, starał się jednak przesyłabizować książkę, pożyczoną od wicekróla. Szło mu o to, ażeby za widzeniem się z nim mógł stosownie odpowiedzieć, gdyby tamtemu przyszła ochota zadawać mu jakie pytania o przedmiotach przeczytanych; nie chciał się bowiem z tem wydać, że przez próżność i dla przechwałki jedynie prosił o tę książkę.

Zaczął tedy najsumienniejsz od pierwszej stronicy, i natrafił na opis polowania na orangutany. Zajęło go to niezmiernie, więc czytał pilnie i z uwagą, przy końcu tej stronicy było zdanie następujące: „Orangutan jest tak duży, jak”... tu przewrócił kartkę i czytał dalej: „Nieszczęśliwa królowa szkocka Marya Stuart, która była wysokiego wzrostu, znacznie wyższa od szczęśliwej swjej współzawodniczki królowej Elżbiety”.

Tu radza zatrzymał się zakłopotany. Zdanie to wydało mu się niejasne i dziwaczne, bo czyż wypadało porównywać małpę z nieszczęśliwą królową szkocką? Co go więc jeszcze zadziwiło, to że w dalszym ciągu artykułu nie było już wcale mowy o małpach, które go daleko więcej zajmowały, następowały tylko różne szczegóły o Maryi Stuart i Elżbiecie angielskiej. Doszedłszy do końca stronicy radza przeczytał: „Potężny ród królewski, panujący wówczas we Francji...” tu znowu kartkę przewrócił i czytał dalej bez przerwy: „poświęcił się wyłącznie hodowli krów i gospodarstwu mlecznemu”. A dalej następowały różne wiadomości o bydnie rogatem, o mleku i wytworach mlecznych, o serze i maśle, i nie było już najmniejszej wzmianki o dwóch monarchiniach.

— Ci Anglicy mają jednak osobliwszy jakiś sposób pisania — pomyślał w duszy radza — żeby tak mieszać z sobą najrozmaitsze przedmioty.

W kilka dni później wybrał się znowu w odwiedzin do wicekróla i odwiózł mu pożyczoną książkę.

— Któryż z tych artykułów najwięcej się podobał waszej Wysokości? — zapytał uprzejmie Anglik.

Radza pośpieszył upewnić, że wszystko mu się podobało, lecz zapytał prostodusznie, czy to we wszystkich książkach angielskich panuje takie osobliwsze pomieszanie różnych przedmiotów, że nim się dojdzie do końca polowania, już zaczyna się historia królowej Maryi Stuart, a tuż potem następuje hodowla krów, i to bez najmniejszej przerwy.

Wicekról miał wielką ochotę parsknąć śmiechem, zdołał się jednak powstrzymać, i z całą powagą odpowiedział gościowi:

— To moja wina, zapomniałem bowiem uprzedzić waszą Wysokość, że w tej książce kartki nie były porozcinane. Na stronicach środkowych, które pozostały nieczytane przez waszą Wysokość, mieszczą się dokończenia każdego z osobnych artykułów i początki następnych.

Mówiąc to, wicekról wziął nóż kościany, porozcinał kartki i czytał: „Orangutan jest tak duży, jak człowiek wysokiego wzrostu, a nawet większy”. A potem: „Potężny ród królewski panujący wówczas we Francji, wpływał także i na politykę angielską”. Przekonał tym sposobem indyjskiego księcia, że w literaturze angielskiej niema zwyczaju pisać w tak dziwny sposób, jak mu się zdawało, jednocześnie o małpach, o osobach królewskich i o krowach mlecznych.

Radza był zdumiony i zachwycony tem odkryciem, przypatrywał się z dziecinnem zajęciem rozcinalu kartek; wicekról wytłómaczył mu dokładnie, jak to w drukarni cały arkusz odrzuca drukują, a następnie składają go w kilkoro w formie książkowym i broszurują. W końcu ofiarował mu w upominku i książkę, i nóż do rozcinala. Radza przyjął z radością i powróciwszy do domu, zaczął na nowo odczytywać artykuły jeden po drugim.

Wicekról zapomniał już był zupełnie o tem zdarzeniu; gdy dnia pewnego, w parę miesięcy potem, przyjaciel jego radza przybył do niego znowu, a tym razem jechał bardzo okazale na pięknym słoniu, otoczony licznym orszakiem. Po zwykłych przywitaniach, zapytał wicekróla z uśmiechem, czy nie ma czasem jakiej książki z nierozciętymi kartkami. Wicekról podał mu świeżo otrzymany z poczty miesięcznik. Towarzystwo siedziało na werandzie, orszak indyjskiego księcia wraz ze słoniem pozostał w pobliżu na dziedzińcu.

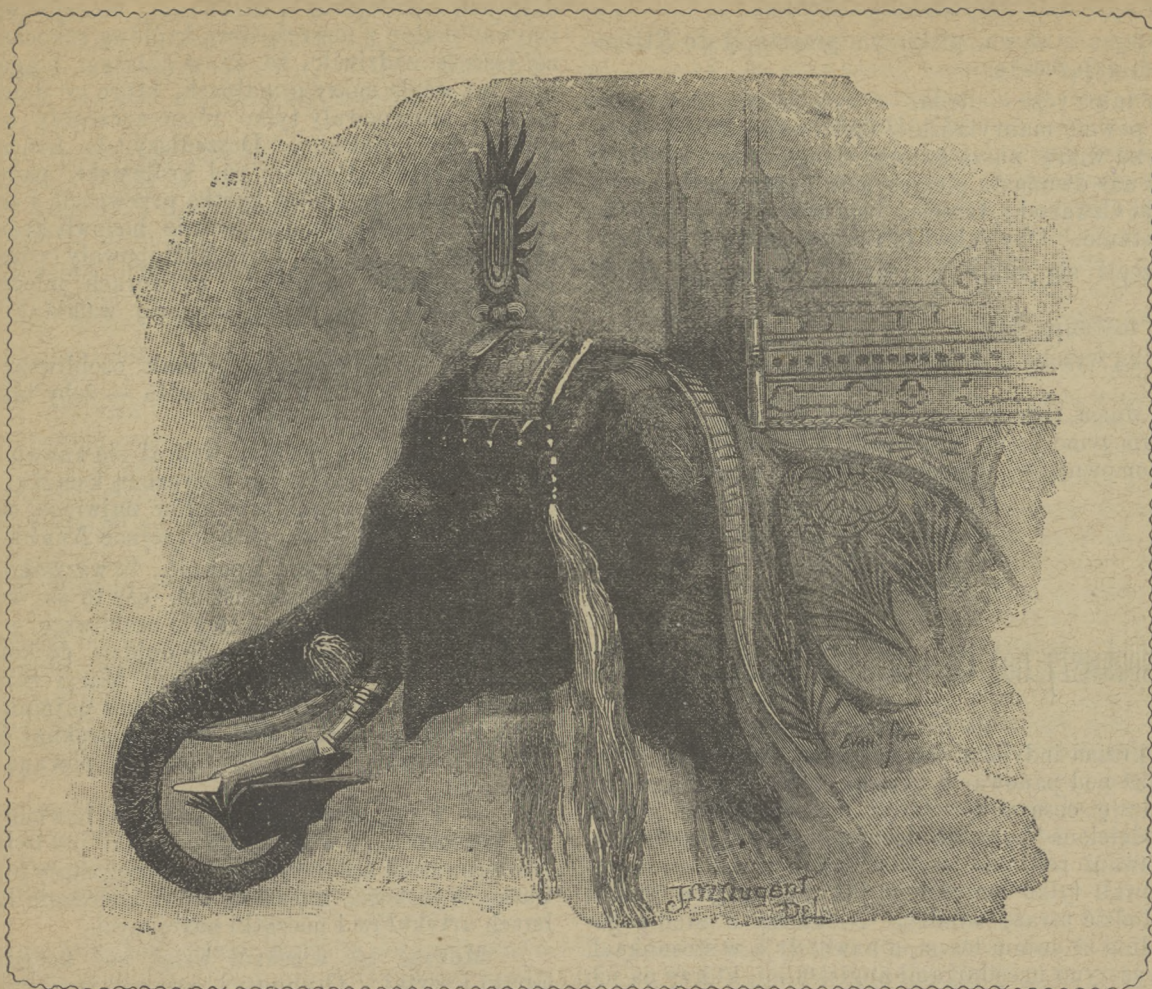
— Niech wasza Dostojność poda tę książkę mojemu słoniowi — rzekł radza.

Wicekról był nieco zdziwiony, lecz usłuchał. Słoń schwycił książkę trąbą, poniósł ją do paszczy, z której wyglądały ogromne jego kły i jednym z nich zgrabnie porozcinał kartki, zupełnie jakby nożem najlepszym. Anglik spostrzegł, przypatrując się bliżej, że jeden z kłów słonia był spiłowany i zaostrzony w kształcie noża, dla ozdoby dodano do niego piękną złotą oprawę.

— Wasza Dostojność ofiarowałeś mi ładny nóż kościany, przyjmijże w zamian nóż żyjący.

Wicekról zachwycony był tym osobliwszym podarun-





Nóż do rozcínania kartek.

kiem, pokazywał go wszystkim znajomym, dowcipny słoń powszechny podziw budził w Kalkucie, chociaż dostojnik angielski wolał do czytania używać zwyczajnego noża z kości lub drzewa. Rysunek nasz przedstawia w całej okazałości ów szczególny nóż władcy indyjskiego w chwili, gdy zmyślny słoń rozcina nim kartki.

## Bracia z daleka i bracia z bliska,

dyalog w dwóch częściach  
przez **Natalią Sokołowską.**

(Dokończenie).

### CZEŚĆ II-ga.

**MAŃCIA** (wchodzi głębia).

Joasiu!... Joasiu!

**JOASIA** (odzywa się z poza drzwi).

Jestem...

**MAŃCIA** (stając na środku).

Ale gdzie?

**JOASIA** (płaczliwie).

W sypialnym pokoju...

**MAŃCIA.**

Pójdź prędko!

**JOASIA** (j. w.)

Kiedym zamknięta.

**MAŃCIA** (idąc ku drzwiom).

A to co znowu?

**JOASIA** (j. w.)

Siedzę tu od godziny...

**MAŃCIA** (otwierając drzwi z klucza).

Rozpuść skrzydła, ptaszyno... wracam ci swobodę.

(W tej chwili Joasia staje w progu w turbanie z ręcznika z narysowanymi węglem węgami, z rękoma przywiązanych z tyłu do szczytki od zamykania).

**JOASIA** (napót z płaczem).

Dziękuję ci, siostrzyczko!

**MAŃCIA** (wybuchając śmiechem).

Cha, cha, cha!... kto cię tak urządził.

**JOASIA** (z wymówką).

Śmiejesz się?...

**MAŃCIA** (tłumiąc śmiech).

Ale... bo ty... się nie widzisz... najprzód ci jednak rozwiążę ręce... kto cię tak urządził? (rozwiązuje ręce).

**JOASIA** (j. w.).

A to ten nieznosny chłopak... chciał, żebym z nim grała w żołnierze... on był oficerem i ciągle mnie za coś potraçał, aż mi się znudziło i nie chciałam słuchać... Wówczas związał mnie w kij... bo to się tak u nich nazywa, zrobił ze mnie czupiradło i zamknął w kozie.

**MAŃCIA.**

Niedobry swawolnik!.. ale możebyś się umyła...

**JOASIA** (przeglądając się w lustrze).

Do czego ja podobna!

(Mańcia podaje jej umoczony ręcznik).





Niszczenie szarańczy.

JOASIA (*zrzucając turban i myjąc się*).

Szalony chłopak!... podeptał łóżko mojej lalki, złamał stół i spalił dwie suknie balowe!

MAŃCIA.

Roztrzepaniec!

JOASIA (*przechodzi naprzód sceny*).

Złośliwiec, powiadam ci, okropny!... wszystko tłucze, psuje, zjada, przewraca... gorzej od zawieruchy!

MAŃCIA.

Szaławiła!

JOASIA (*z coraz żywszem oburzeniem*).

Szafarce stłukł dwie kopy jaj... ogrodnikowi poobijał najpiękniejsze gruszki... Jaśka zrzucił z huśtawki... France podarł fartuszek... a mnie... a mnie... a mnie...

MAŃCIA.

Co się z niego stało!

JOASIA.

Wstyd mi było od pierwszego dnia... ślicznie nam się udał ów podwieczorek!

MAŃCIA (*z westchnieniem*).

Ach, prawda!... wpadli między dzieci, jak dwa wilki... pozjadali, co było najlepszego, resztę zaś przysmaków rzucać zaczęli w chłopców i dziewczęta. Cały porządek poszedł w niwecz!...

JOASIA.

Porcelanę potłukli, siebie i dzieci powalali, stół przewrócili... okropność!!

MAŃCIA.

Wszystko uciekało przed nimi w największym popło-

chu, a gdy mateczka wystąpiła do nich z wymówką, powiedzieli śmiejąc się, że się zabawili w Rinaldiniego.

JOASIA.

W tego rozbójnika!... Co się z tym Felkiem stało... co się z nim stało?...

MAŃCIA.

A ja powiadam, że go wolę od Władka.

JOASIA.

Co ty mówisz? mój tylko bije, krzyczy, psuje, potęra, a toć i zaraza od niego nie gorsza!

MAŃCIA.

Mój robi to samo, ale nadto ciągle prawi nieprzyjemności, kończąc zawsze przemowę miłym zdaniem, że nie myśli się zadawać z taką smarkatą!

JOASIA.

To nie do uwierzenia!

MAŃCIA.

Robinsona podarł w kawałki, wylał mi kałamarz na krośna... poprzecinał haft... złamał nożyczki i w ceber z mlekiem wrzucił Filusia!

JOASIA.

Utrapienie!

MAŃCIA.

A co za zły przykład dla ochronki!

JOASIA.

Zgorszenie!

MAŃCIA (*tajemniczo*).

Chyba nam ich zamienili!

JOASIA (*podobnymże tonem*).

Wiesz, co ja myślę?



MAŃCIA.  
Co ci się zdaje?  
JOASIA.  
Że w nich *(żegna się)* złe wstąpiło.  
MAŃCIA *(żegnając się)*.  
Jezus Marya!  
JOASIA.  
Jakby to temu zaradzić?  
MAŃCIA.  
Możeby zakupić Mszę świętą?...  
JOASIA.  
Masz słuszność!  
MAŃCIA.  
Ale to znów wstyd.  
JOASIA.  
Prawda!  
MAŃCIA.  
A żeby ich tak skropić wodą święconą?  
JOASIA.  
Skropiliby oni nas dopiero!  
MAŃCIA.  
Poczekalibyśmy, a żeby zasnęli.  
JOASIA.  
Chyba!  
MAŃCIA.  
Tylko, że to powinien zrobić ksiądz.  
JOASIA.  
A gdybyśmy tak poprosiły księdza proboszcza?  
MAŃCIA.  
Znów byłby wstyd!  
JOASIA.  
Prawda!  
MAŃCIA.  
A przecież to zawsze nasi bracia, synowie naszej mateczki... nie wypada!...  
JOASIA.  
Nie wypada!  
MAŃCIA.  
Mateczce wcale się nie podobają, ale co stryjcio, to z nich zadowolony.  
JOASIA.  
Mówi, że pierwój byli babami.  
MAŃCIA.  
A dziś kim są?  
JOASIA.  
Rozbójnikami!... Nie... ja się pójdę poskarżyć na Felka.  
MAŃCIA.  
Skarżyć się na brata... jakoś to nieładnie.  
JOASIA.  
Prawda, że nieładnie, ale niepodobna przecież znośić takiego obchodzenia się.  
MAŃCIA.  
Masz słuszność!... Ciche nasze, tak dotąd spokojne życie, stało się prawdziwym piekłem.  
JOASIA *(rozżalona)*.  
Zawsze mię tylko odpycha i dobrego nie da mi słowa.  
MAŃCIA *(z westchnieniem)*.  
Mój nielepsz, nielepsz!  
JOASIA.  
Jakże złemu zaradzić?  
MAŃCIA *(po chwili)*.  
Przychodzi mi na myśl...  
JOASIA *(żwawo)*.  
Mów, mów, moja jedyna!  
MAŃCIA *(wolno)*.  
Żebyśmy się bez nich obyły.  
JOASIA *(z namysłem)*.  
Żebyśmy się bez nich obyły?  
MAŃCIA.  
Całe dziesięć miesięcy przeżyliśmy ze sobą w zgodzie.  
JOASIA.  
Najzupełniejszej.

MAŃCIA.  
Uczyliśmy się razem i bawiły.  
JOASIA.  
Prawda!  
MAŃCIA.  
I zawsze nam było dobrze.  
JOASIA.  
Wybornie!  
MAŃCIA.  
Widać, siostrzyczko, że to chłopcom z chłopcami, a dziewczynkom najlepiej z dziewczynkami.  
JOASIA.  
Święta prawda.  
MAŃCIA.  
Zostawmy więc ich nadal w spokoju.  
JOASIA.  
Ale jeśli w nich złe wstąpiło?  
MAŃCIA.  
Pomódlmy się, żeby je Pan Bóg usunął.  
JOASIA.  
Pocichutku!  
MAŃCIA.  
Żeby im nie robić wstydu.  
JOASIA *(z głębokim ukłonem)*.  
Żegnam pana Feliksa!  
MAŃCIA *(podobnie)*.  
Uniżona służka pana Władysława.  
JOASIA.  
Wszystko nam popsuli.  
MAŃCIA.  
Postaramy się to naprawić.  
JOASIA.  
Możeby im co spocic na pożegnanie?  
MAŃCIA.  
Zemścijmy się szlachetnie, przebaczymy.  
JOASIA.  
Nauczyłaś się od mateczki słodyczą zwyciężać... Niechże i tak będzie.  
MAŃCIA.  
Mam przecucie, że gdy ich szukać nie będziemy, sami nas poszukają.  
JOASIA *(z resztą urazy)*.  
Dziękuję za zaszczyt!  
MAŃCIA *(z westchnieniem)*.  
Tak się to mówi... szczerze jednak przyznajmy, że ich zawsze kochamy.  
JOASIA.  
Co nie przeszkadza nam przyznać, że bracia milsi są z daleka, aniżeli zblizka.

## Szarańcza w Algerze.

Szarańcza jest straszną klęską, u nas na szczęście dość rzadką. W Algerze, posiadłości francuskiej w Afryce północnej, od lat kilku owad ten grasuje okropnie i wielkie szkody wyrządza. Niszczą szarańczę rozmaitemi sposobami, szczególnie w tej porze, gdy jeszcze skrzydeł nie ma i pieszo, podskakując po ziemi, wędrówkę swoją odbywa. Gdy raz w powietrze uleci, już ją schwytać trudno.

Rysunek nasz przedstawia sposób łowienia szarańczy, używany zwykle przez Beduinów. Rozścielają oni na drodze, którą ma przechodzić szarańcza, ogromne płachty, a gdy mnóstwo owadu się na nich nagromadzi, podnoszą płachty i wysypują szarańczę w ognisko, rozpalone w pobliżu. Dziwaczny musi być widok tych postaci, ustrojonych w długie białe burnusy, stojących w okrąg, jakgdyby jakieś tajemnicze odprawiali obrzędy.



# PIERWSZA WYCIECZKA MYŚLIWSKA

MŁODYCH OSADNIKÓW AMERYKAŃSKICH

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

Pantera, nasyciwszy się smutnym widokiem towarzysza, którego martwe członki woda uniosła dalej, odwróciła łeb od głębin, a skierowała wzrok na młodego chłopca i przeszła go ognistymi ślepiami, zdawała się mówić do niego tem wejrzaniem:

— A więc to ty, smarkaczu jakiś, zamordowałeś mego ukochanego małżonka? Nie wyobrażaj sobie, że ci to ujdzie na sucho, potrafię ja pomścić go należycie, ja cię tu zaraz na jeden ząb pochwyć i pożre.

Lecz w chwili, gdy drapieżna istota miała groźbę tę wykonać i poruszyła się do skoku, strzał przebił powtórnie powietrze i pantera podskoczyła do góry z jękiem i rykiem szalonym, potem stoczyła się na sam brzeg parowu, szamotała się przez czas jakiś i w końcu wpadła w wodę, połączyła się z wiernym towarzyszem. Kula Janka trafiła ją w samo gardło, które na wylot prawie przebiła.

Chłopak z najzimniejszą krwią wziął do ręki nóż, dotychczas trzymany w zębach, włożył go w pochwę i za pas wetknął, potem bezwzględnie strzelbę nabił na nowo. Teraz już czynił to bez zbytecznego pośpiechu, tak obojętnie, jakgdyby przed chwilą strzelał do celu z przyjaciółmi swoimi, młodymi Burtonami.

— Nie sądzę, aby mi jeszcze trzecia pantera chciała dziś wchodzić w drogę — szepnął sam do siebie — w każdym razie jestem gotów poczęstować ją tak samo, jak i tamte obie, strzelba już nabita.

I mówiąc to, przewiesił broń przez plecy, przeciągnął ramiona, jakby po uciążliwej robocie, potem najspokojniej powędrował przez mostek, który tym razem przeszedł bez żadnej przygody.

Ojciec i matka młodego chłopca zasiadali właśnie do wieczerzy, gdy on wszedł do mieszkania. Stół jadalny był bardzo prosty i skromny, nie nakryty żadnym obrusem, osadnicy podobnych zbytków nie znali. Ale naczynia, w których mieściły się niewyszukane potrawy, były tak czyste, tak starannie utrzymane, że widok ich budził ochotę do jedzenia. Chleb ciemny i gruby, lecz smaczny, bo dobrze wypieczony, pieczeń jelenia, niezbyt wytworna wprawdzie, ale świeża i dyumiąca, oto była cała wieczerza osadników. Możeby mieszkanie miejskie, do przysmaków nawykły, uważał to za niedostatek, tym ludziom niewymagającym te dary Boże wystarczały najzupełniej.

Rodzice uśmiechem powitali powracającego syna i wskazywali mu miejsce u stołu w milczeniu. Janek zdjął strzelbę i nie mówiąc usiadł przy nich. Ruch na świeżem powietrzu, a może i przebyte wzruszenia, zaostriły jego apetyt, ochoczo zabrał się do wieczerzy.

— I cóż? — zapytał ojciec po chwili — nie przyniosłeś, jak widzę, żadnej zwierzyny. Czy nie probowaliście dziś polowania z chłopcami Burtona, czy też nie mieliście szczęścia?

— U Burtonów była dziś pilna robota w polu — odrzekł Janek — Wiluś i Jurek nie mogli odejść, bo ojciec ich potrzebował. Obiecali wybrać się ze mną jutro na dalszą myśliwską wyprawę.

— Jakże spędziłeś popołudnie?

— Pomagałem Burtonom w robocie aż do zachodu słońca, zapraszały mnie na wieczerzę, ale wolałem wrócić do domu, bo przyrzekłem to matce.

— Więc nie miałeś dziś sposobności spróbować strzelby? — zapytał ojciec.

— Po ukończeniu roboty w polu strzelaliśmy trochę do celu z Burtonami.

— No i cóż, nieźle się popisałeś?

— Nie najlepiej — odrzekł chłopiec — ale i nie bardzo źle. Jeden pan Burton trafił w sam środek celu, moje strzały padły jednak bliżej od strzałów obu chłopców.

— Ba! Burton jest jednym z najlepszych strzelców, jakich znam, celniej strzela odemnie — mruknął ojciec — nie mam ci za złe, że mu jeszcze dorównać nie możesz. Staraj się jednak nie dać się prześcignąć jego synom, ani innym chłopakom tego wieku.

— Oho! Ani Wiluś ani Jurek nie mogą się równać ze mną, próbowaliśmy się nieraz.

— Dziwi mię to jednak — rzekł ojciec, wzruszając ramionami — że mając broń nabitą w rękę, nie zastrzeliłeś jakiej zwierzyny; przydałaby się matce.

— Nie napotkałem żadnej zwierzyny, którąbym mógł matce ofiarować; za to zastrzeliłem w lesie parę panter. Napadły mnie koło mostu, ale obie trupem położyłem — chłopak mówił to najobojętniej w świecie, nie zważając nawet, czy słowa jego wrazenie jakie sprawia; jednocześnie położył do ust dużą kromkę chleba z masłem i smacznie zjadał.

— Aż dwie pantery — rzekła matka bez wielkiego wzruszenia, popijając herbatę — i obie zastrzeliłeś na śmierć? A toż zuch z ciebie, chłopcze.

— Nieźle się sprawiłeś — dodał ojciec z uśmiechem spokojnym, nie przerywając sobie jedzenia — ciekawym, jak to było; opowiesz nam wszystko ze szczegółami po herbacie.

Trzeba przyznać, że nasz Janek, chociaż nie był zarozumiały i nie miał zwyczaju pysznić się swoją odwagą, która mu się zdawała najprostszą w świecie rzeczą, z zadowolaniem jednak opowiedział rodzicom swoją przygodę, spotkanie z panterami, zabicie pierwszej na moście, niespodziewany napad drugiej, gdy nie miał jeszcze czasu strzelby nabić i wreszcie tryumf ostateczny. Nawet i dla starszego, doświadczonego myśliwca, zabicie na raz dwóch zwierząt tak drapieżnych, to przecież nie fraszka. Chłopak opowiadał jednak wszystko z prostotą, bez żadnych przechwałek, siedząc spokojnie przy dużym kominie, na którym suty ogień się palił.

Naprzeciw niego siedział ojciec z fajką, a matka, uprzątnąwszy wszystko po wieczerzy, usiadła także przy nich z robotą w rękę. Ogień, płonący na kominie, dostatecznie oświetlał całą izbę, świec nie palono tu bez potrzeby. Matka słuchała uważnie opowiadania, lecz ani razu nie przerwała go wykrzyknikiem trwogi lub uwielbienia, nawet oczu nie podnosiła od swojej roboty. Ojciec także ani na chwilę fajki z ust nie wypuścił i nie okazał najmniejszego wzruszenia. Gdy chłopak skończył, zadał mu parę pytań, wspominał coś o własnych spotkaniach z panterami, zresztą ta przygoda syna obojgu rodzicom wydawała się widocznie rzeczą dość pospolitą.

Potem rozmawiano o innych przedmiotach przez parę godzin jeszcze, aż wreszcie matka dała znak pierwszą, że pora udać się na spoczynek. Ojciec obejrzał starannie drzwi i okiennice, czy szczelnie i dobrze zamknięte, a przekonawszy się, że wszystko jest w porządku, zaczął głośno odmawiać modlitwy wieczorne, które żona i syn za nim powtarzali. Wkrótce cisza zaległa w mieszkaniu osadnika, rodzina cała wypoczywała po dziennych trudach.

## V.

### Młody Indyanin.

Dzień następny wybornie się nadawał do myśliwskiej wycieczki. Słońce świeciło jasno, najlżejsza chmurka nie zaćmiewała czystego błękitu nieba, powietrze jesienne rzeźwiące tchnienia rozlewało dokoła. Janek był uszczęśliwiony, zwłaszcza, gdy ojciec doświadczonym wzrokiem obejrzał cały widnokrąg i upewnił go, że pogoda na czas dłuższy się ustaliła. Powinnował mu przytem ten dobry ojciec tak szczęśliwego zbiegu okoliczności, trudno było bowiem lepszą porę wybrać na daleką wyprawę wśród puszczy leśnej; oboje



rodzice życzyli synowi i młodemu jego towarzyszom powodzenia w polowaniu.

Dnia poprzedniego umówili się chłopcy, ażeby Janek wstąpił po nich, następnie mieli się wybrać we trzech na wędrowną i ze trzy dni przynajmniej spędzić w lesie, pod gołym niebem koczując i nocując. P. Gedney sądził, że chłopiec, który ukończył lat dwanaście, mógł śmiało przywykać do samodzielności. Janek oddawna w domu nie był już za dziecko uważany, miał swoje zajęcia i obowiązki, których nigdy nie ważył się zaniedbywać. Teraz jednak z powodu owych urodzin, pasujących go niejako na dorosłego młodzieńca, został uwolniony na dni kilka od wszelkich gospodarskich zatrudnień, a ojciec mu dał najzupełniejszą swobodę. Chłopiec w tym wieku, inaczej wychowany i w innem otoczeniu żyjący, nie potrafiłby zapewne godnie odpowiedzieć takiemu zaufaniu i swoboda podobna możeby mu na złe wyszła, zamiast wyrobić energią i samodzielnością; ale osadnik znał dobrze swego syna i spokojny był o niego.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

### Jajko Kolumba.

— Czemuż nie czytasz dalej? — pytała dziesięcioletnia Helenka, starszego nieco od siebie brata Henryka, który siedział zamyślony przy stole z jakimś dziennikiem w ręce.

— Bo myślę — odrzekł tenże po chwili milczenia — jakby ci tu najlepiej wytłómaczyć pewną rzecz, której...

— Sam zapewne jeszcze nie rozumiesz — dodała siostra z uśmiechem.

— O, mylisz się bardzo — zawołał Henryk z lekką urazą — zawsze wszystkim rozumiem co czytam! Posłuchaj tylko: „los owego jajka Kolumbowego nie jest obcym dzisiejszym wynalazkom etc.” musi tu być mowa o jakimś dziwnym jajku, należącym do Kolumba, który odkrył Amerykę w 1492 roku i kwita!

— Nie bardzo mi się zdaje kwita! — rzekła niedowierzająco Helenka — i zamiast czytać to, czego jeszcze nie rozumiemy, zabawmy się w co lepij. Pokażę ci jedną sztuczkę, której nauczył mnie wczoraj stryjaszek w czasie twojej nieobecności; czy umiesz nalać herbatę tak, żeby napar z czajnika unosił się nad wodą czystą?

— Oj oj, czemu nie! — rzekł z lekceważeniem Henryk — nic nadzwyczajnego! Trzeba tylko wolniutko lać herbatę na wodę, a oddzieli się tak, jak oliwa. Właśnie słyszę, że podają samowar, chodźmy do jadalnego pokoju a dokażę zaraz tej sztuki.

I oboje przeszli do pokoju stołowego, Helenka poprosiła matki o szklanę wody i czajnik z herbatą zaparzoną podała bratu. Lecz próżno usiłował Henryk utrzymać napar herbaty na wodzie, wszystko mieszało się razem. Widząc to siostra, nalała drugą szklanę, osłodziła wodę i dodana wówczas sherbata rzeczywiście pozostała w górze.

— Ee, tak, to i ja potrafię! — zawołał Henryk i zwa-wo zabrał się do powtórzenia sztuczki, gdy wszedł ojciec do pokoju i rzekł:

— Słyszałem, żeś nie mógł zrozumieć jajka Kolumbo-

wego, a oto sam przyczyniłeś się w tej chwili do jego wyjaśnienia: Skoro bowiem raz Kolumb zapytał swych towarzyszy, czy umie który z nich postawić jajko sztorcem, i nikt tego dokonać nie mógł, dopóki on sam nie ustawił jajka, uderzając nim o stół, tak, że nadtluczone przy końcu rzeczywiście stanęło, wtedy wszyscy krzyknęli:

— Ee, tak to i my potrafimy! takie to było wyjaśnienie jajka Kolumbowego.

Wu-EŁ.

Ponieważ autor nie wyjaśnił, dlaczego herbata utrzymuje się tylko ponad wodą osłodzoną, a miesza się zaraz ze zwyczajną, bez cukru, więc zadajemy to pytanie czytelnikom: dlaczego? Najlepsze wyjaśnienie wydrukujemy za trzy tygodnie.

(Przyp. redakcyi).

## SZARADA.

(Od Heliotropa dla Kochanej Pani).

*Pierwsze z trzeciem dla ludzi są zabawą miłą,  
Lecz ta nieraz się kończy zgubą lub mogiłą;  
Inne w księgach zawarte składają stronice,  
Uczą ludzi rozumu, jak dzieci rodzice.  
Pierwsze zaś z drugim, w ziemię zasadzone,  
Daje ludziom owoce, lub w upał osłonę.  
Wszystkie są w Europie, sięgają wysoko  
I dziką swą pięknością zachwycają oko.*

### ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA (W. B.)

Z następujących zgłosek: but—dy—el—gał—gi—grzeb—i—ki—ko—ko—la—le—mie—nald—re—ry—sie—sep—trop—u—wno—za— ułożyć wyrazy: 1. Ptak drapieżny. 2. Miasto gubernialne. 3. Imię męskie. 4. Miasto w Kroacji. 5. Futro. 6. Wskazówka myśliwska. 7. Gatunek gruszek. 8. Rodzaj ziarna. 9. Przydomek króla polskiego. 10. Utwór poetyczny. Pierwsze i ostatnie litery, od góry do dołu odczytane, utworzą nazwiska bohaterów jednej z najnowszych powieści historycznych.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 2-go.

### Homonimów:

Talent.

### Łamigłówni przeciwieństwa:

Uśmiech—Radość—Burza—Anioł—Noc—Oświata—Wolność—Szczęście—Kara—Atak.

Urbanowska.

**TREŚĆ:** Szum brzoźki, wiersz (z drzew.), — Najnowsza powieść Deotymy (c. d.). — Osobliwszy nóż do rozcinania kartek (z drzew.). — Bracia z daleka i bracia z blizka, dialog w dwóch częściach p. Natalią Sokołowską. — Szarańcza w Algerze (z drzew.) — Pierwsza wycieczka myśliwska młodych osadników amerykańskich, przekład z angielskiego (c. d.). — Rozmaitości. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Zabawki domowej roboty (z drzew.). — Przypadki Michasia. — Dobry chłopczyk, wiersz p. Helenę Bojarską. — Przejazdka z wujaszkiem. — Łamigłówni i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Dzieci Klanu, powieść przez Joannę Hering (p. Adams-Acton) przełożona z angielskiego przez T. P.





## Zabawki domowej roboty.

Dzieci, mieszkające na wsi, nie mogą mieć ciągle coraz nowych zabawek kupnych, choćby dlatego, że trudno po nie raz po raz do miasta jeździć lub posyłać. To też zwykle umieją się bawić rozmaitemi rzeczami, które bez kłopotu i kosztu znaleźć mogą, a to daleko lepsza i często przyjemniejsza zabawa. Kto ma ochotę, może sobie w domu urządzić własną ręką różne zabawki z materiałów prostych i tamich, z drzewa, papieru i t. p. Znamy dobrych braciszków, którzy z kolorowych okładek tekturowych, pozostałych od starych kajetów, wystrzygają śliczne sprzączki dla lalek swoich siostrzyczek. Z deseczek, z pudełek niepotrzebnych, budują znów pyszne domy dla tych lalek, z drzwiami, ganeczkami i prawdziwymi szklanymi okienkami. Łatwo do tego wyszukać kawałki szkła z jakiejś szyby stłuczonej, trzeba tylko bardzo ostrożnie ze szkłem się obchodzić.

W każdym domu, czy to w mieście czy na wsi, łatwo znaleźć i nazbierać zapas starych korków większych i mniejszych, a z korkowego drzewa można wyrabiać śliczne zabawki. Jedną z nich, wcale nietrudną do wykonania, przedstawia dzisiejszy nasz rysunek. Jest to mały akrobata, sztukmistrz, tańczący na linie. Starszy braciszek, siostrzyczka, wujaszek, ciocia, ktośkolwiek zresztą ze starszych znajdzie się zawsze w domu do pomocy dzieciom w tej robocie, iny zaś podamy wskazówki szczegółowe, podług których każdy potrafi zrobić pysznego skoczka, takiego, jak na rysunku.

Najpierw trzeba wybrać cztery drewnienka od zapałek, a lepiej jeszcze jakieś giętkie patyczki, z gałązek drzewnych zerwane i wygiąć je stosownie, ażeby im nadać kształt rączek i nóg, podobnych do tych, które

są na rysunku przedstawione. Potem bierze się korek, mający wyobrażać tułów skoczka, w miejscach właściwych przekala się dziurki i wkłada w nie owe drewnienka, to jest rączki i nóżki. Główkę trzeba wyciąć podług wzoru z większego korka, oczy przekala się drutem, w ogniu rozpalonym, nosek przyprawia się sztucznie, wypychając w dziurkę małego kawałeczka korka. Wreszcie głowę przytwierdzić należy do tułowia za pomocą drewnienka od zapałki, po obu końcach zastruganego spiczasto. Brwi i wąsy łatwo jest pomalować węglem, a co do pióropusza, każdy go może urządzić wedle własnego upodobania z piórek, czy to domowego drobiu czy innych ptasząt.

I otoż skoczek nasz korkowy już gotów do rozpoczęcia sztuk swoich. Brakuje tylko przeciągnąć linę od krzesła do krzesła, lub od kanapy do stołu, a sztukmistrzowi wepchnąć w kłęby po obu bokach dwa widelce. To mu nada potrzebną równowagę, a trzeba przytem uważać dobrze, ażeby środek ciężkości przypadł na prostą nóżkę; gdyby się ta sztuka odrazu nie udała, przesuwając widelce póty, póki jegomość nie stanie bezpiecznie na jednej nodze i nie będzie się na niej porządnie trzymał. Nóżka może być wycięta na końcu w kształcie litery A, a lina przeciągnięta ukośnie, wówczas skoczek korkowy przesunie się zwinnie po niej, jakby się ślizgał.

Pomysłowa młodzież potrafi podług tego wzoru urządzać różne figurki podobne, na przykład tancerki na linie, przybrane w ładne spódniczki jaskrawe, z cieniutkiej bibułki zrobione, główki ich można przyozdobić także wspaniale jakimikolwiek błyszczącymi strzępkami. Innym razem wskażemy sposoby wyrabiania z korka różne zabawki odmiennego rodzaju, które dzieciom niewymagającym wielką przyjemność sprawić mogą, a starszej młodzieży podadzą sposobność okazania zręczności i dowcipu. Tymczasem zbierajcie i składajcie stare korki.

## Przypadki Michasia.

Mama Michasia i Wańdzi była trochę chora i potrzebowała wyjechać na kilka tygodni do miejsca kąpielowego. Nie mogła dzieci zabierać z sobą, więc zostawiła je u babuni na wsi, bo ojciec nie miał czasu ich pilnować. Babcia kochała wnuczęta niezmiernie i czuwała nad nimi troskliwie, ale była już sędziwa, z trudnością jej przychodziło chodzić wszędzie za nimi. Że jednak Michaś nie był już maleńkim dzieckiem, miał ośm lat skończonych, a Wańdzia o rok tylko od braciszka była młodsza, babunia nie wyobrażała sobie, aby ich na krok nie można było odstąpić.

Dzieci nie były złe ani uparte, słuchały odrazu, gdy im babcia co kazała, ale Michaś często strasznie bywał roztrzepany, zapominał o przestrobach i z tego



powodu ciągle mu się wydarzały różne przypadki. Wańdzia sama nie byłaby nigdy na takie przypadki narażona, ale zapatrywała się na Michasia, towarzyszyła mu zawsze i we wszystkim dopomagała.

Raz poszli do ogrodu, Michasiowi zachciało się wleźć na drzewo, a Wańdzia zaczęła się drapać także za bratem na toż samo drzewo. Michaś w króciutkiej kurteczce i majtkach jakoś nieźle się wdrapał na gałąź i usiadł na niej, ale spódniczka Wańdzi zaczęła się o jakąś szczelinę w pniu, dziewczynka ciągnęła ją z całej siły i podarła, a odczepić nie mogła. Zaczęła więc krzyczeć przeraźliwie, bo trudno jej było się utrzymać, zsuwała się z pnia i z pewnością spadłaby była na ziemię, żeby ogrodnik na szczęście nie usłyszał krzyku i nie nadbiegł z drabiną na ratunek. Michaś rad był temu bardzo, bo wylazszy na drzewo, nie umiał zleźć z niego, z ochotą też z drabiny skorzystał.

Babcia nastraszyła się okropnie, usłyszawszy krzyk Wańdzi z pokoju, nadbiegła na miejsce wypadku, gdy już było po wszystkim, ale chociaż się uspokoiła, długo nie mogła przyjść do siebie ze zmęczenia i strachu. Prosiła bardzo dzieci, żeby nadal sprawowały się rozsądnie. Ale cóż: Michaś zwałił wszystko na Wańdzię, a ona na niego i jeszcze się w końcu posprzeczała, co babci nową przykrość sprawiło.

W parę dni potem jedni państwo z sąsiedztwa, którzy mieli kilkoro dzieci, zaprosili na podwieczorek do siebie babunię z Michasiem i Wańdzią. Dzieci były uszczęśliwione, dano im ładne, nowe sukienki, oboje wystrojeni czekali w ogrodzie na babunię.

A wtem Michasiowi przyszło niewiedzieć z kąd do głowy, że niedość ładnie jest uczesany. Włosy coprawda miał twarde, jak szczecinki u pewnego zwierzątka, trudno więc było je gładko przyczesać, ciągle sterczały do góry. Nasz chłopczyk dziś chciał koniecznie na eleganta wyglądać, a spostrzegłszy dużą kadełkę z wodą i przy niej wiaderko, prosił Wańdzi, żeby mu głowę zmoczyła wodą, to poteni włosy dadzą się przygładzić doskonale.

Wańdzia zawsze słuchała braciszka, czego jej znów nie można brać za złe, bo młodsza była od niego, a Michaś miał obowiązek dawać jej dobry przykład i dobre rady. Wzięła więc dziewczynka wiaderko, zaczerpnęła niem wody z kadzi i zaczęła oblewać głowę brata. Chciała to zrobić bardzo ostrożnie i delikatnie, ale małe jej rączki nie mogły dobrze utrzymać wiaderka i woda raptownie się rozlała.

Całe ubranie Michasia, a także i wytworny strój Wańdzi, sukienka, fartuszek, nawet pończoszki i trzewiki przemokły okropnie. Babunia aż ręce załamała z przestachu, gdy przyszła i obaczyła, co się stało. Trzeba było dzieci przebrać do koszuli, na podwieczorek już nie poszły, bo babcia, obawiając się, aby się nie zaziębiły po tej przypadkowej kąpieli, zapakowała obojga do łóżek i ciepłą herbatą napoiła.

## DOBRY CHŁOPCZYK.

— Dlaczego, mamo, powiedz mi, proszę,  
Ludzie się zimy lękają?  
Przecież i zima daje rozkosze,  
I uciech wiele też mają:  
Sanna... ślizgawka, tak pożądana...  
Wesołe święta... zapusty...  
A w każdym domu smażą od rana,  
To świeże pączki, to chrósty...  
— Tobie się zima miłą wydaje,  
Odrzekła matka — lecz, dziecię,  
Biedakom często chleba nie staje,  
Trudniej zarobić niż w lecie.  
Do nędznej chaty chłód się przedziera,  
Ciepłej odzieży tam niema;  
Biedak ze smutkiem na świat spoziera,  
Gdy sroga zbliża się zima —  
Chłopczyk westchnienia wstrzymać nie może,  
Łzami mu zasłzyły oczęta,  
I odtąd zawsze w zimowej porze  
Najpierw o biednych pamięta.

*Helena Bojarska.*

## PRZEJAZDZKA Z WUJASZKIEM.

Wujaszek Karol wszedł dnia pewnego do dziecinnego pokoju. O! jakże smutny widok tam zastał. Sam pokój jednak wyglądał ładnie i wesoło, na kominku płonął ogień jasny, iskierki fruwały w powietrzu ponad paląciami się drewnkami. W pokoju tym, dużym i obitym ślicznym papierem w różnobarwne kwiaty, mnóstwo było kosztownych zabawek. Po środku stał ogromny kołnierz na biegunach, lalki rozmaitych wielkości leżały, i na sofie, i na stole, a po ziemi walały się także różne ładne rzeczy.

Jednakże wujaszek Karol westchnął, gdy drzwi otworzył i próg pokoju przestąpił, ujrzał bowiem dwoje dzieci, trzyletniego chłopczyka i znacznie starszą dziewczynkę, walczących zawzięcie i wydzierających sobie z całej siły wzajemnie piękną książkę z kolorowymi obrazkami. Bona stała przy nich z rękami załamanymi, widocznie nic poradzić nie mogła.

Obaczywszy wujaszka, dzieci zawstydzone rozstały się nagle, on zaś wziął książkę z rąk małego Kazia i kiwając smutnie głową, spoglądał przez chwilę w milczeniu, to na chłopczyka, to na siostrzyczkę jego Zosię. Twarzyczki dzieci były zaperzone i zarumienione ze złości.

Potem wujaszek przysunął sobie krzesło, usiadł na niem, wziął Kazia na kolana i zaczął rozmawiać z chłopczykiem wesoło, nie wspominając o brzydkiej kłótni. Ale jak to obaczyła Zosia, nadąsała się okropnie, skrzywiła buzię i mruknęła z gniewem:

— Wujaszek zawsze jego broni, a mnie nie kocha, już ja wiem — i mówiąc to, dziewczynka wybiegła z pokoju.



Wujaszek Karol znowu westchnął z większym jeszcze smutkiem. Był on lekarzem i wiedział, że są choroby i ciała, i duszy, a te bywają najgorsze. Wujaszek kochał niezmiennie dzieci swojej siostry, martwił się patrząc na to, że były takie niegrzeczne, a jednak nie mógł ich bardzo winić, bo to był skutek złego wychowania, rodzice zanadto pieścili te dzieci, na wszystko im pozwalali. I rodziców także niepodobna było obwiniać, oni przedtem stracili kilkoro ukochanych dzieci, gdy potem Pan Bóg zesłał na ich pociechę Zosię i Kazia, tak nieustannie się obawiali, aby im coś nie zaszkodziło, aby które nie zachorowało, że nie mieli nigdy odwagi odmówić im czegoś lub połać.

Zosia szczególnie w pierwszych latach życia była chorowita i wątła, pielęgnowano ją troskliwie, a prztem dogadzano wszystkim zachciankom, nikt nie odważył się jęj sprzeciwić w niczem. Ale gdy podrośł Kazio, także tak samo pieszczony i psuty, Zosia poraz pierwszy napotkała opór, ustąpić jednak nie chciała i ztąd w pokoju dziecinnym często bardzo odbywały się takie brzydkie sceny, jak ta, którą zastał owego rana wujaszek.

Kazio był żywy, popędliwy, ale serce miał dobre, kochał wujaszka Karola niezmiennie, i gdy ten zaczął mu łagodnie przekładać, jak to nieładnie, jaki to wstyd, żeby rodzeństwo kłóciło się między sobą, chłopczyk obiecał pogodzić się z siostrzyczką i przeprosić ją nawet. Poszedł więc dobry wujaszek po nią, bo chciał koniecznie przed odejściem spokój przywrócić pomiędzy rodzeństwem.

Zosia miała już ósmy rok, uczyła się zwykle przez parę godzin dziennie, lecz teraz miała kilka dni rekreacyj z powodu świąt Bożego Narodzenia. Matka zazwyczaj wychodząc z domu brała z sobą córeczkę, dziś jednak miała różne sprawunki do załatwienia, wyszła więc sama, bo śpieszyła się bardzo i zostawiła Zosię w domu. Dziewczynka czytała już płynnie i lubiła bardzo obrazki; gdy wyszła zadąsana z pokoju dziecinnego, poszła do biblioteki, zdjęła ze swojej półeczki jakąś książkę z powiastkami, usiadła przy oknie i oglądała różne zwierzątka na obrazkach. Tak ją zastał wujaszek Karol.

Obaczywszy go wchodzącego, Zosia na nowo skrzywiła buzię i brwi namarszczyła, szkoda, że nie mogła w tej chwili widzieć się w zwierciadle, przekonała by się, jak gniew szpeci najładniejszą twarzyczkę. Dziewczynka odwróciła się od wujaszka bardzo niegrzecznie, udawała, że go nie widzi i zajęta jest tylko książką. Ale wujaszek nie zważał na to wcale i rzekł niespodzianie, jakgdyby żadnych dąsów siostrzeniczki nie widział:

— Zosieńko, możebyś przejechała się ze mną? Wszak lubisz jeździć moją jednokonną karetką. Dziś właśnie mam niewiele wizyt, mógłbym cię zabrać z sobą, gdy wysiądę do chorego, poczekasz na mnie w karecie. Dobrze?

Zosia o mało nie podskoczyła z radości. Przejażdżka z wujaszkiem w ślicznej jego karetkę, zaprzężonej w dużego białego konia, była to jedna z największych jęj przyjemności, a zdarzało się to dość rzadko, bo wujaszek nie miał czasu do stracenia. Czasem jednakże zabierał

z sobą siostrzeniczkę, ta czekała na niego w karetkę, gdy do chorych wysiadał; po powrocie zaś wujaszek Karol, który był bardzo dobry i odwiedzał nietylko bogatych, lecz także biedaków, opowiadał jęj różne rzeczy zajmujące o swoich pacyentach. Wszystko to było ogromną pokusą dla naszję małej grymaśnicy, ale zawziętość przemogła, Zosia odpowiedziała obojętnie:

— Dziękuję wujaszekowi, nie mam dziś ochoty na przejażdżkę.

— A, jeżeli tak, moje dziecko, to bądź zdrowa, bo ja nie mam czasu.

I wyszedł. Lecz zaledwie drzwi zamknęły się za nim, nasza dziewczynka pożałowała swego uporu. Może w głębi duszy miała nadzieję, że wujaszek poprosi raz drugi i trzeci, zostawi jęj czas do namysłu, a ona pozwoli da się przebłagać. Widząc, że wszystko stracone, Zosia zerwała się, pobiegła za wujaszkiem, dogoniła go na wschodach i wołała zupełnie innym tonem:

— Niech wujaszek kochany chwileczkę tylko poczeka, ja prędziutko włożę kapturek i salopkę, zaraz będę gotowa.

Ktoby widział przed chwilą nadąsaną dziewczynkę w bibliotece i zobaczył ją potem, gdy ubrana ciepło zbiegła ze wschodów i wskoczyła do karetki, nie poznałby jęj zapewne. Twarzyczka ta rozjaśniona, wesoło uśmiechnięta, ani podobna była do tamtęj skrzywionęj i nadętej.

— Wujaszku! — zawołała Zosia, która ciągle spoglądała w okno karety i pilnie przypatrywała się wszystkiemu, co się działo na ulicy — co to tam się zrobiło na rogu placu? Tyle ludzi biegnie w tę stronę, a w jednym miejscu tak się ścisnęli, że nic zobaczyć nie można. Na co oni tam patrzą?

Wujaszek także spojrział, wychylając się z okna karetki, niewiele zobaczył, lecz odgadł, że wypadek jakiś przytrafić się mu siał. Kazał stangretowi zatrzymać konie, otworzył drzwiczki powozu i wysiadł, powiedziałszy wprzód do małej swęj siostrzenicy:

— Siedź spokojnie, Zosiu, poczekaj na mnie, ja muszę zobaczyć, co się to stało, może pomoc moja przyda się komu.

(d. c. n.)

#### Lamigłówna mieszaninka.

Bel na rzekł mój ku pcy wró chł<sup>6</sup>  
Bre na na mróz czy do br<sup>6</sup>ac za  
Dy la pu gro i ste po o<sup>6</sup>  
Się dy tna wkró wo tce w lód ze  
Ne pta mi cze szku z in wraz muś  
Zie nie mi po szej cił rzu na.

Ułożyć w innym porządku te rozsypane zgłoski, i utworzyć wierszyki rymowe.

#### ROZWIĄZANIE DO N-ru 2-go.

Szarady:

Po — ko — ra.



## Skrzynka do listów.

**Rezedkę**, nową czytelniczkę, witamy serdecznie, korespondentka, tak porządnie pisząca, jest dla nas pożądana.

**Artystki** nie mieliśmy jeszcze wśród grona kochanych naszych korespondentek i bardzo jej radzi jesteśmy.

**Mazurce z nad Narwi** dziękujemy za miłe rzeczy, które nam donosi od siebie i od Mamy. Gwiazda Sudanu jest przerobiona ze znacznymi zmianami z francuskiego. W „Brançe” królowa Aldona musiała umrzeć młodo, gdyż tak chce historia. Proza i poezja musi być układana z utworów mniej znanych.

**Lelum Polelum** zawsze nas zachwycają śliczną kaligrafią. Gołąbka dumna jest i szczęśliwa, że szanowni korespondenci raczą do jej konkursu należeć. Piękna też jest taka zgoda i jedność pomiędzy braćmi

**Olcha z nad Malty** nie spóźniła się z przesyłką, która w każdym czasie przydać się może biedakom.

**Blondynka z nad Suchowółki** ma Pismo opłacone na kwartał; ale postaramy się o to, aby jej się tak prędko nie uprzykrzyło.

**Gałązka Heliotropu** pocziwie ma serduszko, myli się jednak sądząc, że podróże zagranicę wszelkie choroby leczą. Takie liściki życzliwe więcej przynoszą od leków.

**Jedynaczce Kapryśnej** (pewnie tylko z pseudonimu) za miły liścik dziękujemy. Gołąbka pocztowa w rozdaniu nagród rzadziła się ścisłą sprawiedliwością, a redakcja zdanie jej potwierdziła. Zwykle też ci otrzymują nagrody, którzy najmniej na nie liczą.

**Helena S. z N.** nadesłała łamigłówkę dobrze ułożoną, lecz musi poczekać cierpliwie, jak i inni.

**Czyżyk** swoją ujrzy prędzej, bo mniej pospolita i niezbyt długa.

**Ei. Ka.** z takim podpisem nadeszła bajeczka wierszem, która drukowaną być nie może. Zwracamy uwagę autora, że pisze się *wędka*, a nie *wętka*. Zawsze lepiej jest wprzód nauczyć się gramatyki i pisowni, a potem dopiero pisać do druku.

**Maniusia** hojnym datkiem dla ubogich zaznaczyła znajomość swoją z naszą redakcją. Prosimy serdecznie, aby kochana nowa korespondentka obrała sobie pseudonym i często pisywała.

**Śmieszka** wyborny pseudonym wybrała, bardzo się cieszymy z tego w korespondencją z tą kochaną Śmieszką. Obie siostrzyczki powinnyby nam opisać Turcję, skoro kraj ten znają tak dobrze.

**Czarnuszka z Mroczkowa** dawno się nie odzywała, ale za to jaki miłutki liścik teraz napisała! Oba wymienione pseudonymy są do wzięcia, może Czarnuszka kochana wybrać, który jej się podoba. Wyglądamy liściku Rozbójnika, prosimy jednak, żeby się nie stosował do pseudonimu w obejściu z siostrzyczkami. Trzech liścików na raz pod żadnym warunkiem drukować nie możemy, pisaliśmy o tem nieraz.

**Mimozę** najchętniej zaliczamy do grona kochanych korespondentek naszych. Sądząc z tego, co pisze Mimoza o sobie i otoczeniu swoim, korespondencja z naszą redakcją nie będzie dla niej bez pożytku.

**Pegaz Skrzydlaty** piękne ma upodobania, świadczy o tem użycie pieniędzy otrzymanych na Gwiazdkę na piękne i pożyteczne książki. Powiastkę spożytkowaliśmy, jako zadanie naukowe, niech czytelnicy sami wyndają rozstrzygnięcie.

**Alchemika** prosimy, aby tę sprawę, nikomu zaszczytu nie przynoszącą, pozostawił w cieniu.

Kochana Ciemnowłosa Dzieweczko i Wodo źródłana! Zachwyciłyście nas swoimi ładnymi pseudonymami, więc piszemy do was, donosząc, że jesteście wielkimi przyjaciółkami, nazywamy się Hela i Mania, uczymy się w domu, grywamy na cztery ręce. Doniescie nam, gdzie mieszkacie? co najlepiej wam się podoba w „Wieczorach”. Jak wam na imię? Pamiętajcie o Różyczce białej wołyńskiej i Dumce. Pozdrowienia przysyłamy Jedlince i Jędnacze.

Kochana Brzózko srebrna z Polesia! Dziękuję ci za pozdrowienia. Mam lat 11, na imię mi Linia, mieszkam na wsi. Napisz mi co o sobie. Przesyłam pozdrowienia Dzieweczce wiejskiej, i Zagadce, i proszę by do mnie pisały, oraz ukłony Kokoszce i Ciemnowłosej Dzieweczce. Detyna.

Kochana Niezapominajko Poleska. Znam ciebie osobiście, niedawno widziałem się z tobą; wiem, że masz Bunię, która cię pieści, i trzech braciszków. Stasia, Kazia i Wacia, największego pieszczocha wszystkich. Zgadnij, kim jest Łobuz.

Luba Stokrotko z nad Stochodu! Zdziwisz się zapewne, że ja, o dwa lata młodsza od ciebie, pragnę z tobą korespondować. „Co ją do tego skłoniło”? pomyślisz sobie. Pierwsze, że odrazu poczułam do ciebie sympatię, a drugie, pisałaś kiedyś do jednej z korespondentek, że i ty nie miałaś szczęścia do korespondentek, tak jak ja. Wprawdzie pisałam już do jednej, ale z powodu braku miejsca liścik nie był drukowany (może ten będzie szczęśliwszy). Imię noszę bohaterki z pod Trębawli, mieszkam... nad Narwią. Proszę cię, odpisz mi, życzliwa Mazurka z nad Narwi.

Kochana Janinko w Jakimowicach! Wiem, że od Nowego Roku trzymasz „Wieczory Rodzinne”; chcąc cię zachęcić do obrania sobie ładnego pseudonimu, pierwsza do ciebie piszę. Na imię mi Kazia, poznałyśmy się w Mroczkowie, u swoich wujostwa. Kończę list z obawy, by redakcja go nie obcięła. Czy już z jedną przeczytałaś książkę? Zasiłam serdeczne uściśnienia tobie i Musiovi, twoja Czarnuszka z Mroczkowa.

Droga Rozpieszczona Jedynaczko! Ponieważ obydwie jesteśmy jedynaczkami, obydwie mamy po lat 14 i obydwie obdarzyła Gołąbka nagrodą za zadanie konkursowe, więc pozwól, droga Jedynaczko, że ci się przedstawię, jako roztrzepana czarna Krakowianka, prosząc cię o podanie mi bliższych o sobie szczegółów. Jak ci na imię? gdzie mieszkasz? gdzie się uczysz? Czy chodzisz na ślizgawkę? i czy lubisz tańczyć? Co do mnie, na imię mi Hela, chodzę do szkoły, i całuję cię serdecznie, prosząc o liścik przez Wieczory do życzliwej Kapryśnej Jedynaczki.

Gospozi z nad Pilicy, Brzydotce z nad Tamizy, Cyganeczce z nad Wisły, nie mogąc przesłać liścików, przesyła z nad brzegów Wisły serdeczne pozdrowienia Kapryśna Jedynaczka.

Droga Grubulko, Kołowrotku i Zorzo północna! Piszę do was, bo mam 7 lat, tak jak wy. Słowik z nad Zbrucza jest moim bratem, a drugi nazywa się Jerzy, a ja Marylka. Uczę się z Mamą i najlepiej lubię geografię. Mam bonę francuską bardzo dobrą. Odpiszcie mi prędko, ściskam was, Gwiazdka z nad Smotrycza.

Kochana Gałązko wrzosa z Polesia! Ostatni raz piszę do ciebie w „Skrzynce”, droga moja Gałązko. Przestałam bowiem być czytelniczką „Wieczorów”, a list twój musi mnie teraz szukać w Pradze. Ściskam cię serdecznie, twoja Gajówka z nad Obry.

Kochana Detyno! Nie odpisywałam ci tak długo, gdyż oddano mnie na pensję, a tam niepodobna znaleźć chwilki czasu na odpisanie, nawet na tak miły liścik, jakim mnie obdarzyłaś. Teraz wszakże jestem w domu przez trzy tygodnie, zaprzeczam więc twym domysłom, donosząc, iż jestem już duża panna, bo mam lat 12 i noszę imię żony Jana Kochanowskiego. Dzieweczka wiejska.